

# TEATR NARODOWY

z okazji jubileuszu 200 lat swego istnienia

## przedstawia

Juliusza Słowackiego: „KORDIAN”, część pierwsza trylogii  
w reżyserii Kazimierza Dejmka,

w dekoracjach Kazimierza Dejmka,

przy współpracy Jana Krzywickiego (opracowanie plastyczne) i  
Wilhelma Staszewskiego (opracowanie techniczne),

w kostiumach Anieli Wojciechowskiej,

z ilustracją muzyczną w wyborze i opracowania Jerzego Dobrzańskiego i Jacka Sobieskiego, praca nad słowem: Krystyna Mazur.

Okoliczność niezwykła, nastrój uroczysty, choć do właściwego dnia jubileuszu brak jeszcze paru dni. Wielka Sztuka, Wielka Scena, pompa i monumentalizm.

Na szczęście, nie tylko to.

30 lat temu, na drugiej Wielkiej Scenie, w Teatrze Polskim Leon Schiller stworzył z „Kordiana” najświetniejsze przedstawienie, jakie znają dzieje polskiego teatru romantycznego. Do tego „Kordiana” przymierzając następną premierę, widze w „Kordianie” Dejmka cenną realizację, parę świetnych, właściwie odkrywczych scen. Czy to mało czy dużo? To już wiele, jeśli przedstawienie chociażby w kilku scenach porówna i fascynuje. A takie są „Kordian” w Teatrze Narodowym zawiera ładunek emocji dobrego teatru, który go wynosi wysoko, jeśli nie na alpejskie to przynajmniej na karpaccie wyżyny. Pomimo obciążenia, o których za chwilę.

Mądrą posagowość osiąga „Kordian” w Narodowym przez kształt plastyczny przedstawienia, które —

poza kaprysem „Przygotowania” i „Prologu” — posługuje się wielkimi prostokątami kulis, wprawianymi w ruch, ukazującymi raz jasne raz czarne płaszczyzny, podczas gdy na plan pierwszy wnosi się tylko czy wtacza najniezbędniejsze rekwizyty, a to klatki z wariatami, a to stół prezesa czy cesarskie biurko, a to mroczny konfesjonal, dwukrotnie. Czasem na front sceny opada biały kwadrat, oddzielający resztę sceny od widowni: na jego tle niektóre monologu brzmia aż nadto rapsodycznie. Kostiumy utrzymane są w stalowo-popielatym odcieniu, z tej barwy wyłamuje się renesansowa złocistość Wioletty, potem sinobiałe stroje cara i jego rdzawy mundur koloru zakrzepłej krwi. W sumie są kostiumy odpowiednim celnej dekoracyjnej inwencji.

Kordiana gra tym razem — po sukcesie w telewizji, jak przystało na współczesnego Kordiana — IGNACY GOGOLEWSKI. Gra na romantycznej nucie, bardzo poetycko i szczerze rozgrywa przed sobą i ojczyznę Hamleta w walce z własną niedojrzałością. Wstępną ewolucję młodzieńca ukazuje Gogolewski przekonująco, jest coraz młodszy, w mundurze rumianym, aż w scenie przedśmiertnej spowiedzi i rozmowy z Grzegorzem już a powrotem, tak młody, jak w toku załotów do Laury. To chyba słuszne ujęcie sprawy przegadanego spisku i jego następstw.

„Kordian” to jednak nie tylko dzieje jednostki, to przede

wszystkim dramata Polski, dramat kraju z fałszywą niepodległością, sprzeciwiającego się swemu carowi-królowi. Dramat kraju, na który Słowacki patrzył z perspektywy przegranego powstania i gorzkiej, bo samotniejszej emigracji. Sztuka zaczyna się od epilogu, który nazywa się „Przygotowanie” i „Prolog”. Światło to sceny gwałtownego politycznego oskarżenia, napisane z furją, jakiej nie masz równych.

Inwektywy i gniew Słowackiego włożył Dejmek w wymiar kabaretu politycznego. Można i tak. Ale Dejmek poszedł dalej, jakby nie ufał tekstowi i starał się go ustawnie wyszydzić. Tym sobie tłumaczy zabieg z Lechem Ordo-nem, który ma się krygować jako Czarownica, Lelewel, a po chwili Archanioł (czyli to, na szczęście, z umiarkowanym humorem) i cały występ Szatanów w cylindrach. W dodatku mówią oni na głos didaskalia poety, chwył żywcem przeniesiony z „Historii o Chwałebnym Zmartwychwstaniu”. Ale cóż, Słowacki nie Mikołaj z Wilkowiecka i „Kordian” nie staropolski prymityw. Rzecz wypadła płasko.

Pozostał jednak świetny poetycki tekst, który daje się chwila-mi wychwytać z ironii diabelskiej, a z pełną mocą dochodzi do głosu w kreacji Gustawa Holoubka jako głównego Szatana. To jedna z najlepszych ról w przedstawieniu.

Holoubek — diabeł dystyngowany — przewodzi diabelskiej kuchni i umie uderzyć w przejmujący, antykabaretowy patos, gdy z kotła wyziera „niszczyciel jakby horda Nogajca”. To pierwszy wielki moment widowiska.

Rozpoczyna się właściwa akcja. Z początku toczy się niemrawo, mimo że Dejmek postąpił rozsądnie i z trzech bajan starego Grzegorza pozostawił tylko jedną (wzruszając opowiadania przez JANUSZA STRACHOCKIEGO). Obie role kobiece, źle obsadzone, zostawiają widza chłodnym, scena w James Parku mrozi, i Gogolewski-Kordian jeszcze się nie rozgrzał. Monolog „Szekspirowski” wygłasza Gogolewski z egzaltacją, to nie poprawia wrażenia. Ogarnia nas niepokój, co będzie dalej?

Dalej jest jednak lepiej, a będzie dobrze. Pierwszą kreacyjną sceną Dejmkowego „Kordiana” jest scena z papieżem. Zdzisław Mrozeński umiał pokazać raczej groźnego niż śmiesznego papieża, nic tu już z pomysłów kabaretowych, przeżyjemy drugi wielki moment widowiska. Tylko czemu Dejmek przeważa cały niemal czas trwania tej sceny ustawił Kordiana za kulisami, przecież papież nie wygłasza monologu?

Nad salą watykańską unoszą się dzwony, te dzwony są u stóp Kordiana w tak zazwyczaj ryzykownej i nieudanej w teatrze scenie „na najwyższej igle góry Mont-Blanc”. To kapitalny pomysł, sprawdzający się na scenie.

Tłum na uroczystościach koronacyjnych cara na króla polskiego. Jest to tłum ściszony i napięty. Wizyjna scena z carem w katedrze — płaszcz koronacyjny z wielkim orłem białym — przejmująco przytłumiony śpiew Nieznajomego (Mieczysław Milecki) to dalsze mocne sceny Dejmkowego „Kordiana”. Potem jest scena w podziemi katedry św. Jana, trudny zawzyczaj dla inscenizatorów o-

rzech do zgryzienia. Wsparty przez zespół (wyrazista rola Władysława Krasnowieckiego jako Prezesa), Dejmek doskonale daje z nią sobie radę. Kabotyńskie gesty Kordiana bardzo stonowane.

Wędrownka Kordiana po salach Zamku — koncertowej konferencyjnej, tronowej, aż do drzwi sypialni cara. Dejmek rozgrywa ją, to jasne, w jednej przestrzeni i w świetle, a Strach i Imaginację uosabiają dwaj jakby koledzy Kordiana. Duże wrażenie, choć żal mi wizjonerstwa Słowackiego, wygnanego z tych fragmentów.

Scena w szpitalu wariatów. Prawie tak nieodzowna w wielkim romantycznym dramacie, jak duchy złe i dobre. Trochę nią jesteśmy znużeni, Dejmek, być może, również; chociaż Igor Śmiałowski jest plastycznym i niepokojącym Doktorem-Diabelem.

I wreszcie końcowe akordy w których Dejmek poprzestawiał porządek scen — dość logicznie. Tu nudna scena spowiedzi, ale też dwie wybitne kreacje aktorskie, Stanisława Zaczeka (Car) i Ignacego Machowskiego (carski brat). W starciu Mikołaja z Konstantym psychiką tych obu satrapów są doskonałe pokazane: zimny, skupiony, powściągliwy i podstępny car i wybuchowy, dziki, nadmiernie ruchliwy, prostacki i psychopatyczny Konstanty, a obaj zbrodniarze, choć w różnych wymiarach.

Finał znowu najstrojowy, na wy-ciszeniu. I na zmczeniu widzów, szlachetnym zmczeniu, ale czy trochę nie usprawiedliwionym? Przedstawienie trwa od godz. 20 do godz. 0.10 — jesteśmy już odzwyczajeni od takich terminów. I sadze, że za-den pietyzm ich nie usprawiedliwia. Toteż ci i owi widzowie z dalekich dzielnic odchodzili przed końcem przedstawienia, choć na pewno czynili to z wielkim żalem. „Nie miałeś litości, panie” wolam pod adresem dyrektora Dejmka.

JASZCZ